

POCIĄG
do Stalinogrodu
i inne opowiadania

Andrzej Koziol

POCIAĞ

do Stalinogrodu i inne opowiadania



zilustrował

Wojciech Kowalczyk

WYDAWNICTWO WAM



© Wydawnictwo WAM, 2009

Opieka redakcyjna
Elżbieta Mazur

Korekta
Dariusz Godoś

Projekt okładki
opracowanie graficzne i komputerowe
Krzysztof Błażejczyk

ISBN 978-83-7505-355-5

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 012 62 93 200 • faks 012 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 012 62 93 254-256 • faks 012 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl
Zapraszamy do naszej

KSIEGARNI INTERNETOWEJ
<http://WydawnictwoWAM.pl>
tel. 012 62 93 260, 012 62 93 446-447
faks 012 62 93 261

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
wydawnictwowam.pl

Spis treści

Dziad od Najświętszej Panny Marii	6
Dzień, w którym zgasło słońce	12
Ziemniaki dla biednych	18
Pociąg do Stalinogrodu	26
Muchołówka	32
Wariat	40
Muszę ugotować obiad	48
Piękna nasza Polska cała	54
Chrzest razy trzy	60
Pogrzeb razy dwa	66
Sztandar	74
Zła krew	80
Czytelnictwo prasy	86
Front Jedności Narodu	92
Alkohol niewiadomego pochodzenia	98
Demolka	106
Paczka kawy „Santos”	112
Ja żem myślał...	116
Pocztówka od ciotki Wisi	122
Stan wojenny w barze „Nad Uszwicą”	126
Kombatant z wielkimi literami	134
Ziołowa herbata	140

Dziad od Najświętszej Panny Marii





Jesienią Jan Żybura pojechał do Krakowa. Za interesami, a kiedy załatwił, co było do załatwienia, poszedł pomodlić się do kościoła Najświętszej Marii Panny. Pamiętał ten kościół jeszcze z dzieciństwa, z przedwojennej parafialnej wycieczki. Zapamiętał, że na niebieskim sklepieniu świeciły złote gwiazdy, namalowane, jak powiadali, przez Matejkę, największego z polskich malarzy. Na ołtarzu, złotym od prawdziwego złota i kolorowym, Najświętsza Panna Maria osuwała się na ręce apostołów. Teraz nie było ołtarza, wywiezionego w świat podczas wojny, a świątynia wydawała się Żyburze mniejsza i skromniejsza.

Kiedy wychodził, w kruchcie, wśród bab zakutanych w kraciaste

chusty, pojękujących modlitewnie i proszalnie, mignęła mu dziwnie znajoma twarz: wąsy dłuższe, niż być powinny, postrzępione, policzki, dawniej chyba wygładzone ostrą brzytwą, teraz jeżyły się szpakowatą szczeciną. Żybura przystanął, zagapił się na dziada, który umknął w bok wzrokiem i zaczął pospiesznie przebierać ziarenka różańca.

Żybura wyszedł z kościoła, pokręcił się po kocich łbach Rynku. Nie dawała mu spokoju ta twarz – obca i znajoma jednocześnie. Kiedy wrócił, z kościoła wymykał się właśnie znajomy-nieznajomy żebrak. Pochylony, zamiatając długim płaszczem bruk, ruszył w stronę ulicy Szczepańskiej. Żybura poszedł za nim. Minał baby przyklejone do ściany kamienic i szepczące dyskretnie: „Cytryny, DDT, cytryny, DDT”. Na placu Szczepańskim żebrak skręcił w prawo w stronę ulicy św. Tomasza. Tam, w bramie śmierdzącej kiszoną kapustą, szerokiej i długiej jak kolejowy tunel, dopadł go wreszcie Żybura. Chwycił za rękaw palta, zajrzał w oczy.

– Wy jesteście dziedzic z Wiewiórki – ni to stwierdził, ni to zapytał.

W odpowiedzi żebrak zamruczał niewyraźnie.

– Tak – sam siebie upewnił Żybura. – Wyście dziedzic z Wiewiórki. Nie pamiętacie mnie? Żybura Jan, plutonowy z waszej kompanii.



Żebak zasłonił twarz przedramieniem, wyrwał się z rąk Żybury i drobnymi, nieporadnymi krokami pobiegł w głąb cuchnącego kapustą tunelu.

Żybura, z natury uparty, zasadził się w bramie na stróża. Po kwadransie przyszedł ponury, zarośnięty chłop. Pachniał śledziem, cebulą i piwem.

– Wyście stróż? – obcesowo, z góry, zagadnął Żybura.

– Może i stróż, a panu co do tego?

– Nie mędrkujcie – warknął Żybura, przypominając sobie przedwojenną wojskową służbę i okupacyjne leśne podoficerowanie. – Jak pytają, to odpowiadajcie!

– Tak jest – wyprostował się zarośnięty. – Stróż.

– Ten stary, co u was mieszka, ten co w kościele Mariackim zebrze, to jest zameldowany?

– Zameldowany. Jakżeby inaczej... Pan towarzyszu śledczy Wąsik wie o nim wszystko...

– Nie mędrkujcie. Ja nie Wąsik, ja wszystkiego nie wiem. Kto on taki? Były dziedzic?

– Były dziedzic. Mówią, że hrabia skądś spod Dębicy...

– No tak... – wycedził Żybura. – Dziedzic, hrabia... Łupiński może?

– Łupiński, panie śledczy. Hrabia zbankretowany do imentu.

W pociągu Żybura aż do samej Dębicy myślał o Łupińskim. Mało to się naużerali przed wojną? Mało to razy jego, Żybure, dziedzic zwymyślał od komunistów – za „Wici”, za strajki chłopskie, za podburzanie folwarcznych parobków... I jak się spierali o przyszłą Polskę. „Będzie ludowa” – pokrzykiwał Żybura. Niby się doczekał, bo ciągle mówią o Polsce Ludowej, ale ta ludowość nie podług Żyburowej miary...

Kiedy jego oddział rozbito pod Lubartowem, Żybura wysoko na drzewie powiesił swój krótki, kawaleryjski karabinek, zaznaczył pień znakiem krzyża. W pierwszej wsi wymienił mundur na cywilne łachy, lasami ruszył ku swojej wsi. Już wkrótce miał wrócić do lasu, do oddziału Łupińskiego. Dziedzic, podając mu rękę, powiedział:

– No to co, panie plutonowy, politykę zostawimy na powojenne czasy?

– Tak jest, panie kapitanie, na powojenne czasy.

Tak było, a teraz Łupiński, zdziażdżały, zarośnięty, siedzi u Najświętszej Panny Marii... Żybura kręcił głowę na to zdziażdzenie dziedzica, na jego długi do ziemi, zabłocony płaszcz, na uciekające spojrzenie.

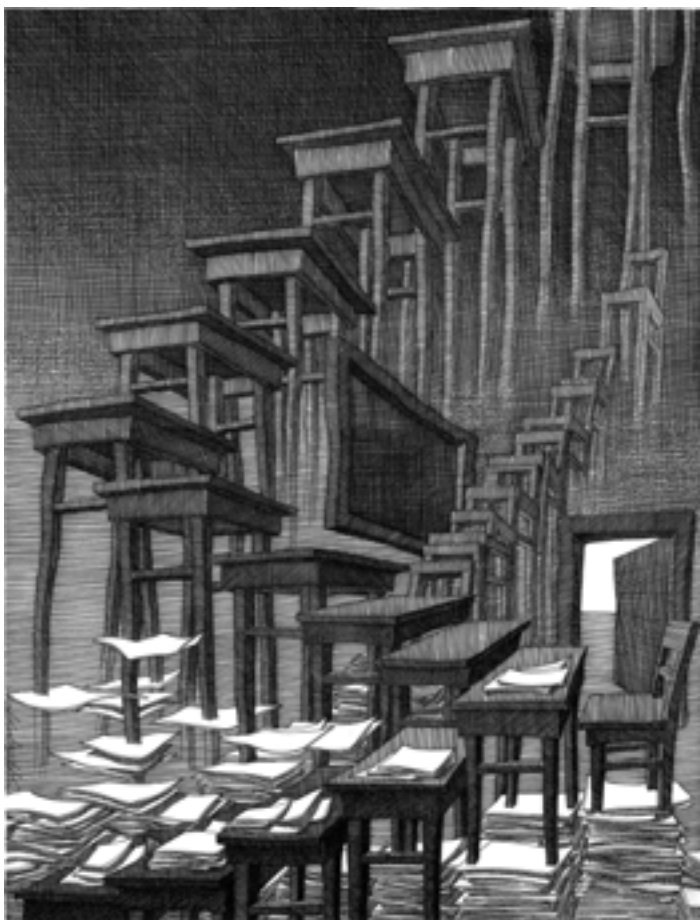


Kiedy wrócił do Wiewiórki, ciągle nie mógł zapomnieć dziedzica – kościelnego dziada. Opowiedział żonie, kolegom. Wszyscy kręcili głowami. Taki dziedzic – dwór jak pałac, konie, ciężkie do roboty, śmigłe do jazdy wierzchem, na polowania, stada krów, pola ciągnące się po horyzont. Taki dziedzic, a siedzi w kościelnej kruchcie jak najzwyczajniejszy dziad...

– Był przeciwnikiem politycznym – mówił Żybura – ale...

Przed Bożym Narodzeniem do Krakowa pojechała Żyburowa z Bodnarem. Powieźli kielbasę, solone serki, polec słoniny, dwa duże słoiki miodu i paczkę opłatków.

Dzień, w którym zgasło słońce





W każdej klasie wisiał głośnik. Od czasu do czasu chrypiał, rzęził, aby po chwili wyrzucić słowa kierownika szkoły zwanego Łysoniem. Tego dnia głos Łysonia, zazwyczaj namaszczonego, posmarowanego masłem patosu, był szczególnie uroczysty, nawet repetenci, usadowieni pod piecem, wyczuli, że stało się coś nadzwyczajnego.

– Dzisiaj w Moskwie zmarł wielki przywódca światowego proletariatu, nadzieja całej postępowej ludzkości – powoli, tłustym, ciemnym od patosu głosem deklamował Łysoń.
– Przestało bić serce, które...

– Stalin zdech! – wrzasnął Janusz Szczurek. – Chłopoki, Stalin zdech!

– Zdechł, mówi się zdechł – odruchowo poprawiła go polonistka, pani Ryzakowa, i natychmiast, spłoszona, dodała: – To znaczy mówi się umarł.

W klasie szumiało jak w ulu. Głos Łysonia płynął z kołchoźnika, ale nikt go nie słuchał.

– Wieczne odpoczywanie racz dać mu, Panie... – szydliwie wyrwał się jeden z repetentów.

– ...a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen! – dokończył, najzupełniej serio, Wacek Czopek i przeżegnał się.

Klasa ryknęła śmiechem.

– Otworzyć zeszyty! – krzyknęła pani Ryzakowa.
– Będzie klasówka.

Jednak na klasówkę było już za późno. Klasa szumiała, w powietrzu szybowały jaskółki, ktoś uderzył w nadmuchaną papierową torebkę.

– Jebudu! – wrzasnął Szczurek. – Będzie wolne, prosze pani?

– Proszę – odruchowo poprawiła go nauczycielka.
– Mówi się proszę! Wolnego nie będzie.

W tym momencie w gwar wdarł się z zewnątrz, z korytarza, przeraźliwy dźwięk. Wycie, zawroźnienie, szloch – wszystko jednocześnie. Do drzwi pierwszy rzucił się Szczurek.

– Szczurek, wracaj na miejsce! – krzyknęła pani Ryzakowa. Na próżno, Szczurek już dopadł wyjścia, szeroko,



zamaszyście otworzył drzwi. Do klasy wpadł ten przedziwny, silniejszy tym razem i bliższy dźwięk.

– Na miejsca, wszyscy na miejsca! – krzyczała nauczycielka, ale uczniowie już wysypali się na korytarz i zastygli. Na posadzce, na popękanych płytkach leżała Berowa, nauczycielka matematyki. Spódnica podwinęła się jej wysoko, odsłaniając grube nogi i długie flanelowe majtki.

– Ja cię kręcę – chrapliwie wyszeptał Szczurek. – Nóżki jak u stróżki. I jakie barchanki!

Pani Berowa leżała w pobliżu toalety, w zapachu moczu, karbolu i zastarzałego papierosowego dymu. Jej nieskazitelny zazwyczaj koczek rozsypał się pasmami siwawych włosów.

– Co my bez niego zrobimy?! – zawodziła. – Umarł nasz ojciec!

Po jej czerwonej, szerokiej twarzy spływały łzy.

– Posmarkała się – z satysfakcją stwierdził Szczurek.

– Kto nas obroni? – zawodziła pani Berowa. – Kto nas obroni, sieroty?

– ORMO! – wrzasnął Wacek Czopek.

– I Armia Czerwona – dopowiedział Szczurek.

Już przez tłum zaczął się przeciskać Łysoń, gniewnie pofukując i nie szczędząc kuksańców. Przedarł się przez zwarty uczniowski tłum i pochylił nad leżącą nauczycielką.

– Uczniowie patrz, koleżanko – powiedział z wyrzutem. – Proszę się opanować.

– Odszedł – załkała pani Berowa. – Osierocił nas! Co my teraz pocniemy, towarzyszu dyrektorze?

– Wezmą nas do sierocińca – pisnął ktoś z tyłu, zza pleców kolegów.

– Który to? – groźnie zapytał Łysoń, spocony, z poczerwieniałą łysiną. – No, który?

– Bury! – zuchwale i cienko pisnął ten sam głos.

– A w ogóle to marsz do klas. Jeszcze nie było dzwonka – nasrożył się Łysoń. – Proszę koleżeństwa, proszę, tak w ogóle, zająć się uczniami.

W całej szkole panował zamęt, ale podzielony, pannaowało kilkanaście zamętów, tyle, ile było klas. Kiedy sprzed szkoły, zawodząc chrypliwie, odjechała karetka, uwożąc dziwnie uspokojoną panią Berową, okna pełne były podekscytowanych twarzy.

– Dostała zastrzyk w dupę – autorytatywnym tonem stwierdził Kędzior, którego matka była lekarką.

– Nie będzie matmy – ucieszył się Czopek.



W ten sposób dzień, w którym zgasło Słońce Ludzkości, mocno zapisał się w historii szkoły na przedmieściu. Zapisał się tym mocniej, iż klasa V B postanowiła sprawić pogrzeb imiennikowi Wielkiego Wodza, Józkowi Szlachcie. Niestety, grobowiec z ławek wypiętrzonych pod sufit runął, razem z nim runęła drewniana donica z palmą, łamiąc Józkowi rękę. Na szczęście prawą, co oznaczało dwa miesiące wolne od klasówek i zadań domowych.